

MARGINESY



GDYBYŚCIE

Doskonałe życie?

JĄ ZNALI

Czy doskonałe zbudzenie?

EMILY ELGAR



EMILY ELGAR
GDYBYŚCIE
JĄ ZNALI

PRZEŁOŻYŁA EWA PENKSYK-KLUCZKOWSKA

MARGINESY

Dla mojej siostry Amy

If You Knew Her

COPYRIGHT © Emily Elgar 2017

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Ewa Penksyk-Kluczkowska
COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,
Warszawa 2018

W każdym momencie naszego życia jedną nogą
tkwimy w świecie baśni, a drugą w otchłani piekieł.

Paulo Coelho, *Jedenaście minut*

(przeł. Marek Janczur i Basia Stępień)

PROLOG

Pędzi szosą, coraz głębiej zanurzając się w gęstą jak smoła noc. Ciemności ją wchłaniają, zamykają w zimnym uścisku. Z każdym lodowatym wdechem powietrze poraża jej płuca, nogi pracują sprawnie, pewne kierunku, w którym zmierzają. Słyszy, jak obok bulgocze strumień, jak gałęzie brzoź skrzypią nad jej głową, splatając artretyczne palce.

Księżyc świeci swoim plamistym, życzliwym obliczem, srebrząc jej szlak jak dobra wróżka; kobieta uśmiecha się do niego w chwili, gdy jasna tarcza znika za kolejną szybko mknącą chmurą. Chłonie świat całą sobą, on zaś przemieszcza się lekko wraz z nią, jakby z cichym westchnieniem uwolniła się w niej jakaś niewidzialna siła, a ona stałaby u progu nowego życia. Zaczyna coś nucić, sama jest tym zaskoczona, coś zmyślnego, dziecinnego; takie wygłupy, ale co tam, zupełnie się nie wstydzi.

Dlaczego nigdy wcześniej nie zauważyła, że świat może być taki spokojny?

Nucenie przechodzi w imię.

– Maisie! – woła. Zatrzymuje się i powtarza, tym razem głośniej: – Maisie!!!

Nasłuchuje. Ma wrażenie, że cisza nocna jest namacalna, pełna napięcia i bezkresna. W każdej chwili spodziewa się truchotania w gęstwinie krzewów, miłego trzasku, gdy zwinne łapy psa złamią delikatną gałązkę. Ale na razie jest tylko gęsta cisza. Nie będzie się martwić. Maisie pewnie biegnie gdzieś niedaleko po

polu, z ciałem napiętym od adrenaliny, z nosem przy ziemi, wymachując ogonem, głucha na wszystko oprócz kakofonii otaczających ją zapachów. Kobieta poprawia torbę na ramieniu, woła raz jeszcze i dalej idzie znajomą szosą o dziurawej nawierzchni.

Aż odskakuje, gdy za jej plecami pojawia się błysk reflektorów. Jakby wdarły się w jej intymną chwilę i przyłapały ją na czymś, co chciała ukryć przed innymi. Zna ten samochód. Macha, rzucając cienie na asfalt, jej ręce wydają się absurdalnie długie.

Przyspiesza, rusza biegiem. Kawałek dalej jest mijanka, tam mogą stanąć i porozmawiać. Ale jej bieg jakby przyciągnął uwagę samochodu – jakby obnażył jakąś jej słabość – ma wrażenie, że światła przywarły do jej pleców ze zwierzęcą dzikością, niczym szklane spojrzenie pogrążonej w transie bestii, której nozdrza wypełniły się zapachem zdobyczy. Czuje, że światła zbliżają się coraz szybciej, że pędzą prosto na nią. Z jej gardła dobywa się krzyk, ale wiatr go porywa, jakby był potrzebny gdzie indziej, w innym dramacie. Samochód z warkotem silnika zbliża się jeszcze bardziej, jest tuż za jej plecami.

Kiedy uderza ją w bok, torba spada z jej ramienia, szyja się wykręca. Czuje, jak kości pękają bez oporu niczym porcelana; okręca się porwana siłą uderzenia, w szalonym piruecie, i leci na brzeg strumienia. Stopy nie nadążają, przewraca się. Ciernie rozdierają jej bezradne ręce, gdy szuka podparcia w zaroślach, ale to jedynie krzaki i luźne gałęzie, nawet nie spowalniają upadku. Słyszy swój krzyk, odległy, jak gdyby wydał go ktoś daleko stąd. Gdy uderza o coś twardego, ma wrażenie, że jej głowa jest kawałem mięsa rzuconym na blok rzeźniczy.

Potok jest dość wąski; doskonale na nią pasuje, dobrany na miarę niczym trumna. Jej serce bije tak potężnie, że ciało nie czuje nic poza tą siłą: nawet dotkliwego zimna lodowatej wody, która pracowicie je opływa, szukając nowego nurtu wobec tej

przeszkody. Mroźne powietrze pachnie wilgocią i zgnilizną, oddech opuszcza jej usta w rozmemłanych obłoczkach niczym małe duszyczki, jakby jakaś jej część uciekała, rozptywając się w nocy.

Otwiera oczy; niebo wciąż jest atramentowe, krople deszczu spadają na jej twarz jak maleńkie wilgotne pocałunki. Samochód wreszcie się zatrzymał i mechanicznie dyszy w górze.

Wsuwa dłoń pomiędzy uda, a potem podnosi ją do oczu. Nie ma krwi. Chwała Bogu, nie ma krwi. Maisie szczeka, niedobra Maisie. Słyszą kroki na asfalcie. Przystają nad nią. Wołałaby, żeby się nie zatrzymywały. Odchodzą, uff. Cisza brzasku ją spowija, otula w nowym posłaniu. Kobieta ma wrażenie, że spokojny, cichy potok bierze ją w objęcia. Postanawia odpłynąć, tylko na chwilę. Gdy się obudzi, wszystko się wyjaśni, a ona znowu będzie wolna.

Siadam na tym samym krześle co zawsze, twarzą do niego. Głowę ma zwróconą w moją stronę, cierpliwie czeka, aż zacznę. Nie spodziewam się powitania, i dobrze, bo nigdy się ze mną nie wita. Tylko czeka, tak profesjonalnie, aż ja zacznę mówić, i w końcu zawsze zaczynam.

– Cześć, Frank. Szczęśliwego Nowego Roku. Mam nadzieję, że święta minęły ci dobrze. Miło cię widzieć. – Uśmiecham się do niego.

Nie rusza się. Jego twarz nawet nie drgnie.

– Mam wrażenie, że nie było mnie tu całe wieki. – Rozglądam się. Nic się tu u niego nie zmieniło, w tej niewielkiej przestrzeni. Po tym całym deszczu wpływające przez okno jasne styczniowe słońce przynosi ulgę. W powietrzu tańczą podświetlone drobinki pyłu. – Nam święta minęły całkiem miło. Pamiętasz, mówiłam, że jedziemy z Davidem do mojej rodziny w New Forest? Claire przeprowadziła moich rodziców do przerobionej stodoły, więc teraz ona, Martin i dzieci mają stary dom dla siebie. Wydawało mi się, że nie mam nic przeciwko, ale to jednak było dość dziwne. Dom, w którym się wychowywałyśmy, tyle że z rzeczami innych ludzi. W każdym razie zdaniem Davida moja rodzina jest zadowolona z tego rozwiązania, a to oczywiście jest przecież najważniejsze.

Plan obmyśliła i pieczołowicie zrealizowała moja siostra Claire. Młodsza ode mnie raptem o półtora roku, orzekła, że

to absurd, by nasi rodzice błakali się po georgiańskim domu z czterema sypialniami, tym samym, w którym się wychowałyśmy, podczas gdy ona z rodziną gniecie się w wynajętym domu z trzema. Mój mąż David, architekt, zaprojektował przebudowę starej, poczerniałej stodoły, a zrealizowano ją pospiesznie w ciągu zaledwie pół roku. Rodzice zabrali swoje książki o ptakach, kubki i stary dębowy stół, na którego dłuższej krawędzi wciąż widniał wyrzeźbiony kątomierzem napis „Alice Taylor” i jak to oni, po cichu i w spokoju, przenieśli się do nowej siedziby po drugiej stronie podwórka. Na całą resztę rzeczy Claire zamówiła kontener.

Frank czeka, aż znowu zacznę do niego mówić.

Poruszam się niespokojnie na krześle.

– Dzieci były takie słodkie. Harry, pięcioletni syn Claire, miał niedawno wszy i przez całe święta o niczym innym nie mówił, a w dodatku ciągle szukał wszy w moich włosach. David się z tego śmiał. Próbowaliśmy zasugerować Martinowi, żeby kazał mu przestać, ale on albo nie zrozumiał aluzji, albo nie chciało mu się nic z tym robić. Z moim szwagrem nigdy nic nie wiadomo.

Ciągle nie mogę się przekonać do tego ospałego, przygarbionego człowieka. Albo jest nieodkrytym geniuszem, albo jest niezbyt lotny. Zdaniem Davida Martin znalazł sposób na łatwe życie, a jeśli to prawda, to jednak jest geniuszem, skoro ożenił się z moją siostrą.

– Claire i ja nie wkurzałyśmy się nawzajem zanedo, chwala Bogu, ale o rany, w Boże Narodzenie był taki moment... – Nachyliłam się do Franka. Większości ludzi nie mogę opowiadać o dzieciach, więc teraz mam swoje pięć minut. – Właśnie wykąpałam Harry’ego, zesłam do kuchni i przyłapałam Claire, jak obiera dla Elsy winogrona ze skórki... Winogrona ze skórki! Na miłość boską! Rozumiem dla niemowlęcia, ale dla trzylatki?! Claire chyba wiedziała, co myślę, i natychmiast wyjaśniła, że ze skórka Elsa

by ich w ogóle nie zjadła. Na szczęście wszedł David, bobym jej nagadała.

To ostatnie nie do końca zgadzało się z prawdą. Obecność Davida zapobiegła wybuchowi prawdziwej kłótni, ale nie powstrzymałam się od sarkania: „Tańczysz, jak ona ci zagra”, kiedy patrzyłam, jak Claire pochylona nad swoim nowym stołem kuchennym paznokciem zdiera skórkę z owocu, podczas gdy Elsa siedzi na swoim krzeselku i kopie stół niczym mały dyktator.

Claire oderwała się od swojego zajęcia.

– Co powiedziałaś, Ali?

Elsa przestała kopać stół, by na mnie spojrzeć, policzki miała zarumienione, pokryte wysypką, połyskujące sokiem z winogron. Sprawiała wrażenie urażonej moją ingerencją, gdy tak ładnie urządziła sobie życie.

– Claire, na Boga, naprawdę ciągle obierasz jej winogrona?

Moja siostra dokończyła owoc, nad którym się biedziła, i podała go córce, a ta, nie odrywając ode mnie wzroku, wzięła go od matki i żarłocznie wpakowała do ust tłustą łapką.

– Chcę, żeby jadła więcej owoców, a nie ma innego sposobu – wyjaśniła z wymuszoną powściągliwością Claire.

Elsa zaczęła ssać winogrono, starając się przeciąć zębami jego śliską, odartą ze skórki powierzchnię. Claire napiła się wina.

– Zostaw to mnie, dobra? – powiedziała, w podtekście zawierając: „Nie masz dzieci, więc nie rozumiesz”. Właśnie wtedy, jak zawsze w samą porę, wszedł David. Papierowy kapelusik miał rozdarty na zgięciach, a przedwcześnie posiwiłe włosy sterczały na wszystkie strony. Wiedział już, że będę na tyle zmęczona i upojona alkoholem, by szukać zaczepki.

– Daj spokój, Alice. Chodź, poratujesz ojca i mnie, nie możemy pokonać Martina i twojej mamy. – Grali w planszówki w salonie, podczas gdy ja pomagałam Claire przy dzieciach. David nie znosi kłótni, więc obeszłam krzeselko Elsy i poszłam grać

w trivial pursuit. Na odchodnym dojrzałam coś na kształt zielonej gałki ocznej wyskakującej z maleńkich ust. Później David wszedł na skórkę winogrona, ja przeprosiłam Claire, po czym obie śmiechem skwitowałyśmy winogronowy szlak, który David rozniósł po całej posadzce.

W tym momencie opowieści terapeuta zapytałby pewnie: „A co poczułaś, gdy twoja siostra tak powiedziała?”. Ale Frank nie pyta, to nie w jego stylu.

Opowiadam dalej:

– Cała reszta była super, mama i tata uroczy i spokojni jak zawsze. Ciągłe mają totalnego świra na punkcie Harry’ego i Elsy. Strasznie są szczęśliwi, że mają wnuki pod ręką. Pewnie tak kiedyś właśnie wyglądały rodziny: dziadkowie dzielą z rodzicami obowiązki, uczą wnuczęta różnych rzeczy, mówią im o swoim dzieciństwie i tak dalej. – Urywam. Przełykam ślinę, nie do końca wiem, gdzie jest moje miejsce na tym pozytywnym rodzinnym obrazku. Zastanawiam się, czy Frank zauważył, jak szybko zmieniłam temat. – Przez kilka dni był u nas Simon, ojciec Davida, a potem pojechaliśmy do przyjaciół, Jess i Tima, na sylwestra. To są nasi tutejsi przyjaciele, opowiadałam ci o nich. Więc było spokojnie, wino i znowu planszówki. – Wzruszam ramionami. – Było miło. – Simon jest wdowcem od pięciu lat, odkąd Marjorie, mama Davida, umarła na raka piersi. Zakochał się w golfie i sprawia wrażenie zadowolonego z życia. Nie mam pojęcia, co jeszcze powiedzieć. Czuję, że Frank wie, że coś przemilczam, obietnicę, którą złożyłam, ale oganiam się od jej spełnienia jak od natrętnej muchy.

Opadam na oparcie krzesła dla gości. Frank przez okres ferii się nie zmienił. Jego trupio blada głowa spoczywa ciężko na poduszce. Częściowo zasłania go aparatura do oddychania. Rurka tracheotomijna przymocowana do wielkiej niebieskiej plastikowej rury wygląda jak macka ośmiornicy i biegnie bezwzględnie

od otworu w gardle. Skurczone ciało przypomina rysunek ołówkiem, ale głowa jest twarda i ciężka niczym rzeźba z marmuru. Respirator i monitor za jego plecami nieprzerwanie klikają i pikają. Teraz, po przerwie, wydają mi się głośniejsze, bardziej natarczywe.

Lucy, córka Franka, powiedziała mi kiedyś, że ma on silny akcent z West Country. Uwielbiam akcenty regionalne. Szkoda, że pewnie nigdy nie usłyszę, jak mówi. Patrzę na jego twarz. To błądy ślad Franka, którego widziałam na zdjęciach. Niczym u jakiegoś wymęczonego miłością starego misia jego skóra jest ziemista od szpitalnego powietrza, a włosy białe i sianowate niczym sfilcowana bawełna.

Kiedy tu trafił dwa miesiące temu, miały kolor mahoniowy, tak jak moje. Pamiętam, że któraś z pielęgniarek, może Carol, powiedziała, że moglibyśmy uchodzić za rodzeństwo. Może to przez tę jej uwagę zaczęłam do niego tyle mówić. A może dlatego, że leżał tu już długo, mijały tygodnie i nikt do niego nie przychodził. A może dlatego, że Frank po prostu umie słuchać.

Instynkt mi podpowiada, że Frank jest przytomniejszy, niż można wnioskować z tomografii jego mózgu i innych badań, ale na oddziale 9B instynkt się nie liczy. Jeśli chcesz cokolwiek zmienić, musisz dysponować dowodami dostarczonymi przez jakąś aparaturę. Kiedy Frank tu przyjechał, mówiło się do niego jak do pustego pudła – był gdzie indziej, nie wiem gdzie – ale gdy teraz przy nim siedzę, czuję jego obecność. Wiem, że słucha. Nie poruszając ani jednym mięśniem, nie wypowiadając ani jednego słowa, pocieszał mnie przed Bożym Narodzeniem, w rocznicę mojego pierwszego poronienia. O pierwszym opowiedziałam mu, gdy czyściłam jego rurkę tracheotomijną. Pewnie oboje byliśmy zaskoczeni. Potem opowiedziałam mu o kolejnych siedmiu. Nawet o tym, o którym nie wie David, gdy moje ciało pozbyło się maleńkiego życia sprawnie i cicho, jakby zdmuchiwało świecz-

kę. Po tych opowieściach poczułam się lepiej. Pewnie pomaga, że on się nie może ruszyć, że nie muszę patrzeć na wszystkie doskonale znane starania, by ukryć żal, który widzę na twarzach większości ludzi. Głuszcę puchate włosy Franka, miękkie jak oddech. Tym razem Nowy Rok oznacza dla nas koniec prób, postaramy się zaakceptować to, że nie będziemy mieli własnej rodziny. Obiecałam Davidowi. Uznałam, że osiem lat prób to maksimum, że więcej nie zniesiemy. Koniec.

Zagryzam dolną wargę. Nie powinnam tyle o sobie opowiadać Frankowi – to nie w porządku wobec niego – więc cofam rękę i odwracam od niego wzrok. Pielęgniarki, które dyżurowały w święta, zawiązały fioletową lametę na jego łóżku, w nogach. Wiem, że miały dobre intencje, ale teraz to wygląda durnowato.

Wstaję z krzesła, ciesząc się, że mam coś do zrobienia. Odklejam taśmę z łóżka i zdejmuję lametę. Wyobrażam sobie, że Frank myśli „dziękuję”, a ja z uśmiechem odpowiadam „cała przyjemność po mojej stronie”, wrzucając ozdoby do śmietnika.

Oprócz fioletowej lamety i plastikowego mikołaja oraz sań z reniferami o dziwnie wrednych pyskach oddział 9B w tym roku wstrzeźliwie obchodził święta. Jedyne inne ozdoby wokół Franka to dwie kartki bożonarodzeniowe na skraju szafki nocnej. Na razie je zostawiam.

Słyszę głosy na końcu sali: nadchodzą pozostałe pielęgniarki dziennej zmiany. Mam obchód za pięć minut, więc żegnam się z Frankiem i idę szerokim korytarzem przygotować oddział 9B w Szpitalu St Catherine, zwanym przez wszystkich Kate's. Należymy do Dziewiątek – tak się mówi na trzy oddziały intensywnej opieki medycznej w szpitalu. 9B to niewielki oddział dla pacjentów specjalnej troski, liczący cztery łóżka. Wszyscy nasi pacjenci balansują pomiędzy życiem a śmiercią. My, pielęgniarki, opiekujemy się nimi na zmianę, ale odkąd przyjęto tu Franka w listopadzie, zawsze się staram, by przypadł mnie.

Białe tenisówki piszczą na lepkiej plastikowej ciemnozielonej wykładzinie, gdy wracam do drzwi wejściowych, a dźwięk ten jest mi równie znajomy jak gwizdek czajnika. Dzisiaj wszystko wydaje się takie samo, ale Boże Narodzenie wprowadziło delikatne zmiany. Od rana wyczuwa się w powietrzu poczucie pewnych nowych możliwości. Pojawiło się paru świeżo zatrudnionych członków personelu, zmieniono grafik, a ponadto wyczyszczono wykładzinę dywanową w dyżurce pielęgniarek. Zapach jednak pozostał ten sam – charakterystyczne powietrze przypominające wilgotny opar rozgotowanych ziemniaków połączony ze środkiem do dezynfekcji rąk jest stałym elementem szpitala. Odwiedzającym wydaje się duszące, ale jeśli ktoś tu pracuje, to się przyzwyczaja.

Idę dołączyć do poświętecznych pogawędek, które wylewają się z dyżurki pielęgniarek niczym piana, gdy Sharma, jeden z naszych konsultantów, wychodzi sztywnym krokiem ze swojego gabinetu, gotów na obchód. Wygląda na więcej niż czterdzieści siedem lat, można by pomyśleć, że postarzał się przez święta. Jest jeszcze precyzyjniejszy i sztywniejszy niż normalnie, jakby święty mikołaj przyniósł mu nowe żelazko, linijkę i krochmal w sprayu. Niewielki wąsik ma kruczoczarny jak włosy na głowie, lśniący i symetryczny. Ramiona są ustawione pod należytym kątem, a trzy długopisy w kieszonce – czarny, niebieski i czerwony – czekają na sygnał do akcji. To irytujące. Jakim cudem ktoś taki może pracować w świecie odchodów i wymiótów? Ilekroć towarzyszę mu w obchodzie, trochę się denerwuję, jakbym go brudziła *per procura*, rozmawiając o odleżynach i ruchach jelit.

W pokoju pielęgniarek słyszę, jak Mary rozmawia z nową młodą pielęgniarką, Lizzie. Ta właśnie się śmieje z jakiejś jej opowieści. Obie miały dyżur w święta. Mary czasami trudno do siebie przekonać, więc cieszę się, że najwyraźniej się dogadują.

Z recepcji biorę teczkę z dokumentacją pacjentów. Sharma woli robić obchód z najstarszą stażem pielęgniarką obecną na dyżurze, a nie z siostrami odpowiedzialnymi za poszczególnych pacjentów. Podejrzewam, że w ten sposób chce uniknąć rozmów ze zbyt wieloma pielęgniarkami. Dzisiaj padło na mnie, bo jestem oddziałową.

– Dzień dobry, doktorze – mówię. – Jak panu minęły święta?

– *Bonum*. Dziękuję. Możemy zaczynać? – Sharma okrasza swoje wypowiedzi łaciną, co doprowadza Mary do szału.

– Nadęty dupek – mówi. – Za kogo on się uważa? Za Juliusza Cezara?

Mnie jednak ta łacina co najwyżej śmieszy.

W tej chwili na 9B mamy zaledwie trójkę pacjentów. Zaraz po świętach Caleb z łóżka numer dwa złapał brzydką infekcję po wycięciu zniszczonej rakiem śledziony. Był gotów do drogi, jak mówili; choć jednak słaby jak mucha, znalazł siłę, by wyciągnąć kroplówkę tłoczącą do jego żył antybiotyk. Hope, wdowa po nim, przysłała nam kartkę z życzeniami, która ciągle wisi przypięta do ściany w głębi recepcji. Zima to u nas zwykle gorący okres, starcy zapadają na zapalenie płuc, młodzi przewracają się na śliskiej powierzchni, imprezują. Łóżko Caleba najpewniej postoi puste najwyżej do końca dnia.

Obchód zaczyna się od łóżka nr 1: pacjent kardiologiczny George Peters niedawno przeszedł zapalenie płuc. Sharma przechodzi do Ellen Hargreaves w łóżku numer cztery, demencja i rak, by wreszcie stanąć nad Frankiem Ashcroftem. Jego zdaniem to najbardziej problematyczny pacjent na oddziale. Nie z powodu objawów, lecz przedłużonego pobytu. W opinii Sharmy Frank za długo przebywa na oddziale 9B. Większość pacjentów leży tu maksymalnie przez kilka tygodni, tymczasem Frank już dwa miesiące. Po drodze do łóżka Franka mijamy Lizzie, która macha do mnie uśmiechnięta i zarumieniona. Ścieli już łóżko po

Calebie, dwa boksy od Franka, i umieszcza naklejki z napisem „sterylne” na wszystkim, co zostało przygotowane przez pomoc medyczną.

– Widzę, że pan Ashcroft nie ma żadnej lamety – mówi Sharma, gdy stajemy w nogach łóżka Franka. W jego głosie wciąż słychać Hajdarabad. Akcentu nie można się pozbyć.

– Rzeczywiście. Już ją zdjęłam.

– Może pani dopilnować, by zniknęła też cała reszta? – pyta, zerkając w kartę Franka.

Przygryzam dolną wargę, a on kontynuuje:

– Co my tu mamy... Frank Ashcroft, lat pięćdziesiąt, udar pnia mózgu. W śpiączce przez miesiąc, teraz prawdopodobnie w stanie wegetatywnym, ponieważ zaobserwowano bezwiedne ruchy oka. Badanie EEG wykazało rozległe zniszczenia z pewną aktywnością pnia. Od początku oddycha za pomocą respiratora, prawda?

Sharma oczywiście wie o wszystkim, co się dzieje z Frankiem, ale lubuje się w przedstawieniach. Przytakuje ruchem głowy.

– Był pomysł, by zmobilizować go do samodzielnego oddychania, sprawdzić funkcjonowanie przepony i ewentualnie spróbować redukcji, ale doznał kolejnego, mniejszego udaru.

– Tak, właśnie.

Sharma lubi uległe pielęgniarki. Po paru minutach oglądania jego tomografii i niespełna dwóch minutach pobytu przy jego łóżku uznał, że Frank jest w stanie wegetatywnym. Procedura orzeczenia stanu wegetatywnego wymaga zatwierdzenia przez dwóch innych konsultantów. Sharma ma już opinię jednego. Jeśli dostanie drugą, to będzie koniec Franka; zostanie przeniesiony na zaplecze, do poczekalni kostnicy, będą go podtrzymywać przy życiu, aż dopadnie go jakaś infekcja albo przestaną działać antybiotyki. Muszę mieć nadzieję, że czeka go lepszy los. W przeciwnym razie czy to wszystko ma sens?

– Pamiętam, że nie ma żadnej bliskiej rodziny. W każdym razie nikt się nie angażuje w opiekę nad nim.

Szkoda, że nie mogę go uciszyć. Od Franka dzieli nas jakiś metr.

– Ma córkę – mówię cicho. – Nie przychodzi często. Z żoną nie utrzymywał kontaktu. Kilka razy odwiedzili go jacyś znajomi i matka, ale teraz wyjechała za granicę. Chciała przyjechać na Boże Narodzenie, ale chyba nie mogła sobie na to pozwolić. Ale oprócz tych osób rzeczywiście chyba nikogo nie ma.

Sharma patrzy na Franka, potem znowu w notatki, marszczy czoło.

– Hm, jak pani wie, pacjent przebywa na naszym oddziale już długo. Stanowi to potężne obciążenie finansowe. Obawiam się, że to problem naszych czasów. Musimy rozważyć, gdzie go przenieść. Słyszałem, że dom opieki w Reading chce zainwestować w nowe wyposażenie. Dowiem się szczegółów. – Wynurza się niebieski długopis i tym samym obchód można uznać za zakończony. Następny po południu. Wyobrażam sobie, jak Sharma w zaciszu swojego gabinetu będzie podliczał sumy czerwonym długopisem, rachując, ile kosztuje życie Franka.

Zerkam przez kwadratowe okienko do niewielkiego pokoju pielęgniarek na końcu korytarza. Carol – matrona w średnim wieku o krótkich włosach z trwałą, wesoła i o wielkich cyckach, od których bolą ją plecy – siedzi za biurkiem zalanym instrukcjami do polis i procedur, listami i okólnikami. W głębi niewielkiego pokoiku bez okna wisi na ścianie zdjęcie stałego personelu oddziału Dziewiątek. Wszyscy tu nienawidzą tego zdjęcia, bo mamy na nim zmęczone, upiorne twarze, postarzałe w świetle jarzeniówek, ale zbytnio lubimy Carol, by je zdjąć.

Z pięcioletnim stażem jestem druga w kolejności wśród pielęgniarek 9B. Moja przyjaciółka Mary – która dzisiaj rano siedzi naprzeciwko Carol, zjadając przecenioną babeczkę świętecz-

ną i pijąc herbatę – dosłużyła się medalu za dwudziestoletnią służbę.

Mary zbliża się do emerytury, jest niewysoka i – jak to ujmuje – szybko się kurczy. Jest chuda, chociaż ciągle je. Ma krótko ostrzyżone siwe włosy i wielkie, wybałuszone oczy, które są coraz większe, bo – jak sama mówi – coraz więcej widzi. Nawet lekarze szanują Mary, która słynie z tego, że diagnozuje pacjentów szybciej i trafniej niż większość medyków z dorobkiem. W zaciszu pokoju pielęgniarek Mary traktuje ich mieszkanką żałości i pogardy, nazywa ich ologami, co jest zbiorczą nazwą dla onkologów, kardiologów, neurologów i innych codziennie zachodzących na oddział. Większość z nich przypomina nerwowe insekty, gdy wiesz nad łóżkiem pacjenta, by po chwili wycofać się do swoich biurków i podręczników.

Carol i Mary witają się ze mną uściskiem. Rozmawiamy, jak nam minęły święta, a potem Mary wraca do tyrady, którą jej przerwałam.

– Olodzy tego nie kumają. W ogóle.

Jest zła. Zajmowała się Calebem równie skrupulatnie i uważnie jak zawsze, gdy umarł w czasie świąt. Bogata rodzina Caleba przysłała lekarzom bilety na mecz rugby reprezentacji w podziękowaniu za opiekę nad krewniakiem. Pielęgniarki dostały babeczki.

Mary, jak to ona, ciągle mówi.

– Oni uważają, że oprócz tego, co znajduje się w podręczniku, nic już nie muszą wiedzieć. Większość w ogóle się nie pofatyguje popatrzeć uważnie na pacjenta, nie mówiąc o rozmowie z nim. Ale my dzień w dzień jesteśmy z pacjentami, z ich rodzinami. Widzimy wszystko. Pielęgniarki są jak szpitalne meble. Inni ludzie wciąż się przemieszczają, olodzy awansują, pacjenci idą do domu albo umierają, ale my zostajemy, niezachwiane, czekamy, żeby się na nas wsparło, żeby na nas usiedli albo i trochę kopnęli.

Carol chichocze do Mary, a ta wznosi swoje wielkie oczy do nieba, adresując to do mnie. Odwracam się do tablicy z grafikami, żeby nie widziały, jak się uśmiecham. Wiem, że Mary mocno irytują ciągle chichoty Carol. Podchodzi, by stanąć koło mnie, i ściska mi ramię szczupłą, silną dłonią, która podnosiła, myła, ściskała i głaskała tyłu chorych i umierających przez ostatnie dwadzieścia lat.

– Do roboty, co? Szczęśliwego Nowego Roku. – Mary wychodzi na korytarz i woła oddziałową techniczkę: – Sue! Sue! – Drzwi zamykają się za nią.

Siadam naprzeciwko Carol, tam gdzie przed chwilą siedziała Mary. Kręci głową, patrząc na drzwi, uśmiecha się do mnie wesoło i mówi:

– Na stare lata nikt się nie zmienia, co?

Carol, jedne okulary mając już na nosie, zaczyna szukać w buczy włosów okularów do czytania, które jak zawsze siedzą w tej gęstwinie.

– To prawda – odpowiadam. – W kółko mówi o emeryturze. Nie wiem, czy w ten sposób chce zwrócić na siebie uwagę, czy mówi na poważnie. Tak czy owak, nie wyobrażam sobie, że jej tu zabraknie.

Carol kiwa głową, chwyta okulary i otwiera teczkę.

– No, to co tam dzisiaj? – pyta.

Jako oddziałowa jestem trochę przełożoną, a trochę pielęgniarką. W Kate's oddziałowe to kierowniczkę, które wykonują setki obowiązków administracyjnych na trzech oddziałach intensywnej terapii. Na 9B podstawową załogę pielęgniarską uzupełnia zespół doraźny. W ramach osobliwej szpitalnej hierarchii czas trwania kontaktów z pacjentem decyduje o pozycji pracownika w szpitalnym łańcuchu pokarmowym. Wielogodzinny kontakt z pacjentem – pomoc medyczna, woźny, sprzętaczkę i pielęgniarkę – to plankton, a znikomy kontakt albo żaden – jak

w wypadku większości ologów – to rekiny w tym oceanie. Choć mam coraz więcej obowiązków administracyjnych, nigdy nie zrezygnuję z kontaktu z pacjentem. Studiowałam medycynę na UCL, ale nie zdałam egzaminów na lekarza. Wtedy oczywiście byłam zdruzgotana, nie mogłam słuchać, jak moi rodzice cicho sugerowali, że lepiej się nadaję na pielęgniarkę. Jak się okazało, mieli rację. Bardziej mi odpowiada ludzka strona medycyny. Podaję leki, zmieniam pościel, pocieszam rodziny i trzymam umierających pacjentów za rękę do ostatniego ich tchu. Jestem z nimi. Cieszę się, że jestem planktonem.

– No dobrze, popatrzmy – mówi Carol, czytając grafik. – Dalej zajmujesz się Frankiem, Brighton zarezerwowało łóżko dla pacjentki w śpiączce po urazie głowy, trzydzieści lat, cztery punkty w skali Glasgow. Przyjedzie wieczorem albo i jutro. Lizzie właśnie przygotowuje łóżko. Gdybyś mogła się zająć Ellen Hargreaves, bo Lizzie ma dzisiaj zapelniony grafik. Paula mówiła, że źle z nią, zwłaszcza w nocy, robi się bardzo pobudzona, myśli, że znowu jest wojna, biedactwo. Aha, i w zaleceniach jest adnotacja o wrzodach w jamie ustnej, i trzeba jej sprawdzić cewnik gastrostomijny. O drugiej mamy spotkanie z jej dziećmi. Gdybyś mogła potem zrobić popołudniowy obchód, załatwić rodzinę George'a Petersa. Przez święta był z pielęgniarką doraźną, więc pewnie trzeba im poświęcić trochę uwagi, a potem zająć się grafikami dyżurów. I zastanawiałam się... Ali, mogłabyś przez kilka tygodni mieć oko na Lizzie? Żeby się upewnić, czy wszystko ogarnia. – Rzucił mi kolejny promienny uśmiech, odwzajemniając się jej i wychodząc na tętniący życiem oddział, stawiając czoło nowemu dniowi.

Mniej więcej o 19.30 zajeżdżam pod nasz dom przy Blackcombe Avenue 22. Mieszkamy tu z Davidem od ślubu, czyli od siedmiu lat. Otoczony gęstwiną zimozielonych krzewów wydaje się

niewielki. Niczym na ilustracji z książeczki dla dzieci ciemne frontowe drzwi zerkają spośród zarośli jak życzliwe oko. Zbudowano go w latach pięćdziesiątych, a gdy go kupowaliśmy, uchodził za nieopisanie brzydki – może dlatego poprzedni właściciele posadzili te wszystkie krzewy. Dzisiaj o naszym piętrowym domu z czerwonej cegły mówi się „retro”. David twierdzi, że lata pięćdziesiąte znowu stają się modne – a on to przewidział – więc najwyraźniej trafiliśmy w trend. Opisuje nasz dom jako „Dawne Hollywood”. Jestem pewna, że zapożyczył to wyrażenie z magazynów architektonicznych, a teraz go używa, żeby mnie rozśmieszyć i dać mi pretekst do zarzucania mu nerwicy architektonicznych natręctw. Muszę jednak przyznać, że to dość trafny opis. Na tyłach dom ma balkon, a przesuwne przeszklone drzwi prowadzą do ogrodu położonego na stoku. David pokochał w nim rozmach i możliwość rozbudowy; mnie się spodobały trzy sypialnie i możliwość założenia rodziny. Oczywiście w tej chwili mamy dwie zapasowe sypialnie.

W domu jest ciemno, Davida najwyraźniej nie ma. Pracuje dla Biura Zezwoleń Budowlanych, a od pół roku robi to zdalnie – takie rozwiązanie jest korzystne budżetowo dla jego szefów, Davidowi natomiast zapewni kilka dodatkowych godzin do pracy nad prywatnymi projektami architektonicznymi. Powiedział, że w tym roku ograniczy czas pracy dla biura, by wreszcie całociowo zacząć karierę architekta. Praca dla biura, gdzie z ramienia miejscowych władz prowadzi i omawia kontrowersyjne pozwolenia na budowę, z założenia miała być rozwiązaniem tymczasowym, maksymalnie na rok, gdy przyzwyczajaliśmy się do naszego nowego półwiejskiego życia w Sussex. Ale gdy nastął kryzys finansowy, ludzie zaczęli rezygnować z drogich projektów, a Tesco nadal potrzebowało parkingów, więc David zacisnął zęby i ustalaliśmy w czasie wieczornych rozmów, że to najwyżej kolejny rok czy jakoś tak, dopóki sytuacja gospodarcza się nie poprawi.

Ale teraz go nie ma. Wziął ze sobą Boba, naszego czarnego labradora. Przebieram palcami po ścianie, szukając włącznika światła, zrzucam płaszcz, a torbę z głuchym odgłosem upuszczam na kamienną podłogę przedpokoju. Claire powiedziała kiedyś o naszym domu, że panuje w nim dorosły porządek. Zero ubłoconych tenisówek czy drewnianych zabawek na podłodze. Żadnych zabezpieczeń w szafkach kuchennych ani nocników za sedesem.

Nasza kuchnia to miniaturowa wersja kuchni w wiejskim domu z niewielką spiżarnią i ogromnymi oknami wychodzącymi na ogród. David wolałby coś nowoczesnego, wiem, ale ja zawsze byłam łasa na wszystko, co rustykalne. Przechodzę nad przeżutym legowiskiem Boba i zaglądam do lodówki. Chętnie nalałabym sobie wina, ale w styczniu zawsze staramy się mieć miesiąc abstynencki, więc nalewam sobie wielką szklankę wody gazowanej i opieram się o wielki niby-gospodarczy zlewozmywak, by wysłać z telefonu wiadomość do Jess:

Możecie przyjść na kolację w przyszły czwartek? David chce pogadać o projekcie. Zaprzęgnę go do gotowania i możemy sobie urządzić miły wieczór. X

W chwili gdy ją wysyłam, włączają się światła na zewnątrz i przez okno widzę Davida. Wygląda, jakby przed chwilą ugaszono na nim płomienie – z lycrowej koszulki do biegania wydobywają się białe kłęby pary. Oddycha ciężko i jedną ręką opiera się o murek na podjeździe, by drugą chwycić się za kostkę i naciągnąć udo. Mięśnie łydki nogi stojącej napinają się pod jego ciężarem. Już po kilku sekundach zmienia nogę. Rozciąganie nigdy nie należało do jego ulubionych zajęć. Jutro będzie go bolało.

Słyszę lekkie drapanie do drzwi. Otwieram, a Bob wypycha do środka mokry, czarny łeb, wywalając z pyska różowy jęzor i do-

praszając się czułości. Poklepuję go po umięśnionym grzbiecie. Sapie ciężko, ale daje radę podnieść łeb z rozkoszy, gdy patrzę w jego kochające oczy i zapewniam, że jest dobrym pieskiem.

Wchodzi David, zrzucając od progu swoje stare buty do biegania. Siwiejące włosy przylgnęły mu do czoła w spoconych puklach. Nachyla się, by mnie obdarzyć słonym pocałunkiem. Patrzy mi chwilę w oczy, przez ułamek sekundy w napięciu sprawdzając, czy wszystko ze mną w porządku.

By zapewnić go, że tak, spoglądam na jego przepocony strój i mówię:

– Jestem pod wrażeniem. Noworoczne postanowienie numer jeden.

Śmieje się.

– Wiem, nasza wielka chwila, Boba i moja. Muszę jednak powiedzieć, że on nie wpływa najlepiej na moje morale, co, piesku? – Na dźwięk swojego imienia Bob znajduje teraz jedynie tyle siły, by kilka razy powoli uderzyć ogonem o podłogę, i już pada na legowisko po swojej stronie kuchni, a jego czarny bok porusza się ze znużeniem w górę i w dół.

David odkręca kran i nalewa psu wody do miski, a sobie do szklanki. Wypija jej zawartość trzema wielkimi łykami.

– W kółko robił tę sztuczkę z przystawaniem – mówi. – Że siada, że ani myśli ruszyć się z miejsca, a potem truchtem rusza do domu. Cały czas musiałem go ciągnąć.

Śmieję się. Bob umie być uparty jak muł. I równie ciężki.

David wraca do kranu, by dolać sobie wody, a po drodze głaszcze mnie po pupie.

– Jak było w pracy? – pyta.

Rzucam na blat pocztę, którą przeglądałam, i schylam się, by zdjąć adidas. Po urlopie stopy bolą mnie bardziej niż zwykle.

– Dużo roboty – mówię – ale okej. Wiesz, że Mary już dwadzieścia lat pracuje w Kate’s? Twardzielka, naprawdę. Nie wiem,

jak jej się to udało. Mam kolejne postanowienie: muszę zrobić plan, pomyśleć, co dalej. – Staram się mówić z ożywieniem. Podczas naszych pierwszych lat w maleńkim mieszkanku w suterenie w Hackney – ja dopiero co po dyplomie, oszołomiona, David kończył kursy architektoniczne – w kółko w pobliskim pubie gadaliśmy przy piwie o przyszłości; w owym czasie Hackney bardziej się kojarzyło z wysoką przestępczością niż z wymyślnym cappuccino i knajpkami. W moim planie pojawiały się dzieci mniej więcej przed trzydziestką; wyobrażałam sobie, że gdy będą malutkie, zostawię pielęgniarstwo i zacznę robić coś zupełnie innego, kiedy zaś pójdą do szkoły, podejmę pracę w galerii sztuki albo zajmę się projektowaniem biżuterii, czymś kreatywnym, co umożliwiłoby mi opiekę nad nimi w chorobie i w czasie wakacji, a do tego czasu David miał rozkręcić swój lukratywny biznes. Mieliśmy mieszkać w wielkim wiejskim domu nad morzem, gdzie dzieci by się wychowywały z psami, kurami i kozami, i miały być niesforne, rumiane, pełne ufności do dorosłych i wiary w przyszłość. Wszystko miałam dopracowane.

David odwraca się, by mnie przytulić. Pewnie wie, co myślę. Wpasowuję mu się pod ramię, a on odruchowo schyla się, by złożyć pocałunek gdzieś na mojej twarzy. Trafia koło brwi.

– A jak tobie minął dzień? – pytam głosem stłumionym przez jego klatkę piersiową. Całuje mnie, tym razem w usta, i odsuwamy się od siebie.

– Super. Robiłem jeszcze rysunki do projektu Jess i Tima. Widać już, że wyjdzie z tego coś fajnego. – Nasi przyjaciele zapłacą Davidowi cenę po znajomości, ale warto tak, by wyrobić sobie nazwisko.

– To wspaniale! – mówię, otwierając rachunek za komórkę i natychmiast go odkładając, bez patrzenia. – Właśnie przed chwilą pisałam do Jess. Zaprosiłam ich na przyszły czwartek.

Pomyślałam, że ty z Timem możesz się oddać projektom, a my z Jess sobie porządnie poplotkujemy.

David opłukuje szklanke.

– Fajny pomysł. Zrobię swoje słynne lasagne. – Zerka do lodówki. – Co możemy zjeść na kolację? O matko, ale nam tu dżungla wyrosła – mówi o pojemnikach ze szpinakiem i jarmużem, które kupiłam.

Postanowienie numer pięć: rzeczywiście używać sokowirówki, którą podarowałam Davidowi na Gwiazdkę. Mój mąż wyciąga całe zielsko z lodówki, by znaleźć stary kawałek cheddara. Rozłupuje go bezpośrednio na blacie i zjada po kawałku. Z ustami pełnymi sera wydyma policzki i kiwa głową.

– Wygląda na to, że dzisiaj mamy dobry stary jarmuż na pierwsze i szpinak na deser. Boże, tęsknię za Bożym Narodzeniem.

Wybucham śmiechem, gdy dramatycznym gestem opuszcza głowę na drewniany blat. Chwytam ostatni kawałek sera, a on zbolałym głosem stęka:

– Obiecuję, że tym roku doczekamy się zmian na lepsze.

Uśmiecham się, ale nie odpowiadam. Ruszam natomiast na górę, do sypialni, bo nie chcę Davidowi składać żadnych obietnic, których nie umiem dotrzymać.

Kobieta w śpiączce.
Mężczyzna, który mógłby ją ocalić.
Gdyby tylko był w stanie mówić...

Cassie Jensen ma wszystko: ślub jak z bajki, wspaniały dom,
doskonałego męża, nawet cudowną teściową.

Ale w Nowy Rok trafia na oddział intensywnej terapii.
Na spacerze z psem potrafił ją samochód. Kierowca uciekł.

Pielęgniarka Alice Marlowe, choć zмага się z osobistym
dramatem, z oddaniem zajmuje się nową pacjentką.

Szybko odkrywa, że Cassie skrywa tajemnicę, której nie
znają nawet jej najbliżsi. Na sąsiednim łóżku leży Frank,
samotny starszy mężczyzna. Cierpi na zespół zamknięcia
– ma bezwładne ciało, ale doskonale sprawny umysł.

I słyszy również słowa, które padają nad łóżkiem Cassie.

Wie, że grozi jej śmiertelne niebezpieczeństwo.

I on, i Alice mogliby ocalić Cassie...

Czy wyjdzie na jaw prawda o pozornie
doskonałym życiu Cassie? Czy ktoś odkryje,
dlaczego właściwie tamtej nocy wyszła z domu?

WYDAWCA



cena 37,90 zł

w sprzedaży także



PATRONAT MEDIALNY

PORTAL
KRYM...NALNY

POCISK
WYDAWCA LITERATURY POLSKIEJ

